

*Trzy razy szczęście: Historia przeżycia Powstania na Mokotowie*

Niedawno skończyłem 83 lat i żyję w małej, ładnej i spokojnej wiosce w malowniczym, pagórkowatym, rolniczym regionie środkowej Anglii, zwanym The Cotswolds. Mieszkam wraz z żoną Denise i dorosłym synem Janem. Od lat jestem emerytem Uniwersytetu Oksfordzkiego, na którym wykładałem niegdyś politologię... Na pozór moje życie nie różni się niczym od codzienności wielu angielskich emerytów, którzy mnie otaczają. A jednak - 65 lat temu życie moje było krańcowo różne; żyłem w okupowanej przez nazistowskie Niemcy Polsce i byłem studentem podziemnego uniwersytetu w Warszawie, a także członkiem ruchu oporu.

Te wspomnienia są najbardziej dramatycznym fragmentem owego polskiego życia, a jednocześnie opowieścią o nadzwyczajnym szczęściu, jakie mnie wówczas spotkało - w ciągu sześciu tygodni sierpnia i września 1944 roku trzy razy uciekłem przed śmiercią. Wydarzyło się to w przyjemnej, ogrodowej dzielnicy na południu Warszawy, gdzie jako żołnierz podziemnej Armii Krajowej stanąłem do walki zbrojnej z kontrolującą miasto armią niemiecką.

Pierwszego sierpnia, na rozkaz dowództwa AK, wraz z około 30.000 współkonspiratorów, zaatakowaliśmy niemieckie pozycje, w nadziei (niestety złudnej), że uda nam się wypędzić Niemców ze Stolicy i uprzeczyć wejście armii sowieckiej, zbliżającej się do miasta od wschodu. Zostałem przydzielony do pułku „Baszta”, w kompanii B1. Przyjąłem pseudonim „Jagiełło” - imię króla Polski i Litwy, który w średniowieczu pokonał Niemców. Większość mych towarzyszy broni było w podobnym do mnie wieku. Nasz trening wojskowy poprzedzający Powstanie był raczej elementarny i odbywał się głównie w prywatnych mieszkaniach. Osobiście nauczyłem się np. rozbierać i składać karabin z zawiązanymi oczami, ale nigdy nie miałem okazji oddać z niego strzału.

Choć były niedoświadczone i słabo uzbrojone, siły polskie przegnały Niemców ze znacznej części Mokotowa, ale nasze zwycięstwo miało raczej ograniczone rozmiary. Niemcy wycofali się do silnie ufortyfikowanych koszar, z których dość łatwo mogli odpierać próby polskich ataków, ale nie odważali się kontratakować na większą skalę. Spodziewali się po nas zacieklej obrony i dużych strat własnych, choć nasze zaimprovizowane pozycje obronne to były po prostu opuszczone przez cywilów domy oraz wątle bariery uliczne. Zamiast używać piechoty, dowództwo niemieckie wybrało bezpieczniejszy sposób zgniecenia Powstania: bombardowanie z powietrza i ostrzał ciężkiej artylerii. Eliminowało to wielu powstańców, lecz jednocześnie powodowało kolosalne straty wśród nie-kombatantów, niszcząc olbrzymią ilość domów i zabijając być może 10 razy tylu cywili co wojskowych. (Ogólna liczba ofiar nie jest znana, ale szacuje się nią między 150 000, a 250 000 osób.)

Po raz pierwszy otarłem się o śmierć 10-go sierpnia; dokładna data została odnotowana w pamiętniku, który prowadził podczas Powstania mój przyjaciel z plutonu (Bolesław Taborski, ps. „Juliusz”); miało to miejsce chyba podczas pierwszego bombardowania lotniczego Mokotowa. Jak się później okazało, było to dzieło trzech nurkowych bombowców zwanych "sztukasami", startujących z pobliskiego lotniska w regularnych odstępach czasu i powracających do bazy po nowy ładunek, od rana do wieczora. Byliśmy wobec nich całkowicie bezbronni. Tamtego dnia dostałem przepustkę na opuszczenie mej jednostki, aby szukać mego młodszego brata "Kotowskiego", który zaginął drugiego dnia powstania, a którego ktoś podobno widział w szpitalu sióstr Elżbietanek, pełnym rannych cywili i powstańców (który niedługo potem został obrócony w ruinę podczas innego nalotu). Widząc, że jeden ze „sztukasów” leci w moim kierunku, odruchowo wbiegłem do najbliższego domu - dwupiętrowej, solidnie wyglądającej kamienicy. Podziemie domu było podzielone na klitki biegnące wzdłuż korytarza. Wchodząc do piwnicy bez zastanowienia wybrałem lewą część podziemi. Panowała tam niemal totalna ciemność, ale po ścisiku i szeptach wokół mnie poznałem, że piwnica jest przepelniona. Wnet warkot bombowca stał się bardzo głośny, nastąpił charakterystyczny gwizd albo skowyt, potem sekunda-dwie złowieszczej ciszy, aż wreszcie nastąpił olbrzymi huk eksplozji i wstrząs burzonych ścian budynku. Zostałem zasypany i całkowicie unieruchomiony gruzem, ale - o dziwo - nie czułem żadnego bólu. Wokół mnie ludzie dusili się, jęczeli z bólu, konali w agonii; ja czułem tylko, że moje usta i nos wypełniają się mialkim ceglany pyłem, unoszącym się wokół. Wkrótce zapanowała cisza, jak w grobie. Byłem pewien, że nadszedł również mój koniec. Nie nastąpiło to jednak natychmiast, gdyż wciąż oddychałem, ale coraz głębiej, bo brakowało powietrza. Im mocniej dyszałem, tym więcej wdychałem pyłu, aż w końcu straciłem świadomość, myśląc, że tak właśnie wygląda śmierć.

Myliłem się. Za jakąś godzinę lub dwie obudziłem się, słysząc dźwięk tarcia metalu o cegły, najpierw nikły, a potem coraz głośniejszy. Zgadłem, że była to ekipa ratunkowa poszukująca żywych. Zacząłem krzyczeć "Tu jestem!" i choć mój głos musiał być słaby, usłyszeli mnie. Jeszcze jedno silne stuknięcie kilofem, czy młotem i przedostali się do mnie. Mały snop światła przeszył ciemność i oświetlił moją zapyloną głowę, sterczącą z rumowiska. Czyjeś ręce odgarniały gruz i delikatnie wyciągały mnie z ruin. Tuż obok mnie, po prawej stronie, natknęli się na głowę całkowicie zmiażdżonej kobiety. Podniosłem oczy i w panującym jeszcze półmroku ujrzałem, co się stało. Okazało się, że absolutnym przypadkiem stanąłem w miejscu, gdzie przebiegała olbrzymia belka, łącząca ściany budynku. Kiedy dom runął, pękła po środku i utworzyła coś na kształt litery "v", ale nie załamała się zupełnie. Ta belka uratowała mi życie. Spadające szczątki budynku, nawet te największe, zwyczajnie się od niej odbijały. Tylko trochę odłamków uderzyło mnie tu i tam, raniąc przegub lewej ręki. Gdy wyciągnięto mnie na powierzchnię, gdy zobaczyłem słońce i błękitne niebo, płakałem jak niemowlę. Po raz pierwszy i ostatni w życiu czułem - fizycznie, namacalnie, niezwykle intensywnie - że żyję.

Po niecałym tygodniu zostałem zwolniony z zaimprovizowanego piwnicznego "szpitala" i wróciłem do kompanii B1. Poza bezwładnym przegubem, po wypadku z bombą pozostał tylko jeden ślad: paniczny, traumatyczny strach na widok samolotów, który trwał niemal do końca Powstania. Gdy tylko słyszałem warkot silnika nadlatującego samolotu, czułem trudno kontrolowany, zwierzęcy impuls, aby się kryć, jakkolwiek, gdziekolwiek, trwało to dopóki samolot nie przeleciał. Poza tym nie wyróżniałem się niczym spośród mych powstańczych towarzyszy i spełniałem swe wojskowe obowiązki, jak gdyby nic mi się nie stało.

Być może był to powód, dla którego dwa tygodnie później awansowałem na Starszego Strzelca i zostałem dowódcą trzyosobowego patrolu. Rozpierała mnie duma, gdyż jako dowódca mogłem zamienić mój stary, przedwojenny polski karabin na nowiutkiego angielskiego "stena", prawdopodobnie niedawno zrzuconego nocnym samolotem RAF-u. Zadaniem naszego oddziału było spenetrowanie części rozciągniętego terenu działkowego, które przed wojną pełniło funkcję pola wyścigowego. Leżał on pomiędzy polskimi i niemieckimi pozycjami. W ciągu dnia ta "ziemia niczyja" była raczej spokojna. Ale odżywała nocą, kiedy grasowały po niej zarówno polskie, jak i niemieckie patrole. Normalną bazą operacyjną naszych patroli był tzw. "ogrodnik" – mały jednopokojowy budynek, w którym kiedyś rezydowali strażnicy pilnujący działek. Był on całkowicie wypalony, pozostawał bez dachu, a jedyną jego zawartość stanowiło coś makabrycznego - para szkieletów leżących na żelaznej pryczy. Przypuszczalnie byli to strażnicy, którzy spali w domku, kiedy został on spalony przez SS-manów z pobliskich koszarów. Zadanie naszego patrolu było dosyć rutynowe. Polegało ono na dostaniu się do "ogrodnika" jak najwcześniej i jak najciszej i na sondowaniu stamtąd terenu jak najbliższego koszarom.

Okazało się, że ubiegliśmy Niemców o kilka chwil. Gdy tylko dotarliśmy do budynku i zajęliśmy pozycje przy wypalonych drzwiach i oknach, zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy sami. Spostrzegliśmy niedaleko 2-3 małe błyski żarzących się w mroku papierosów. Po chwili zaczęły się one zbliżać powoli do nas. Jednocześnie słychać było szepty jakichś rozmów i ostrożne kroki. Moi podwładni odbezpieczyli karabiny, a ja skierowałem mego „stena” w kierunku szepców; seria z niego miała być sygnałem do rozpoczęcia ostrzału. Nagle zobaczyliśmy krótki błysk światła i stłumiony odgłos wybuchu, po czym usłyszeliśmy potworne wycie z bólu, rejwach niemieckich głosów i szybki bieg kilku nóg w kierunku koszar. Domyśliliśmy się, że jeden z żołnierzy, może w momencie odbezpieczania granatu, potknął się i niechcący pociągnął za sznurek wewnątrz drewnianego trzonka, raniąc co najmniej siebie. Był to kolejny cud, tym razem nie tylko dla mnie. W patrolu brał udział "Juliusz", który w swoim dzienniku zanotował datę wydarzenia: 12 września. Gdyby granat wylądował w miejscu przeznaczenia, nasza grupka zginęłaby na miejscu albo – straszliwie poraniona - zostałaby dobita pojedynczymi strzałami SS-manów.

Z biegiem miesiąca stało się oczywiste, że dni naszego wyzwolenia dobiegają końca. Armia sowiecka zatrzymała się nad prawym brzegiem Wisły. Główne niemieckie siły, zgromadzone po lewej stronie, mogły przystąpić do likwidacji Powstania. W niedzielę 24. września, około 9-tej rano, Niemcy zasypali Mokotów lawiną bomb, pocisków artyleryjskich i "grających szaf", jak przezywaaliśmy wyjące rakiety wyrzucane z moździerzy. Wieczorem, pod osłoną ciemności, rozpoczął się zmasowany atak czołgów i ciężko uzbrojonej piechoty z trzech stron dzielnicy naraz. Kompania B1, przerzucona na tyły, poniosła ogromne straty; prawie połowa ludzi zginęła w walce. Mógłbym z powodzeniem być jednym z nich, ale stało się inaczej, choć dużo mniej heroicznie.

Poranne bombardowanie zbiegło się z mszą świętą, w której uczestniczyła cała kompania. Aby zapobiec śmierci wszystkich naraz, zakończono mszę szybko i dostaliśmy rozkaz rozproszenia się po jak największej liczbie sąsiednich domów. Jeszcze raz zszedłem do piwnicy - małej, ale pełnej cywili. Pod jej sufitem było okienko wyglądające na ulicę, zablokowane nie jak zwykle workami z piaskiem, ale starannie ułożonymi w rząd cegłami. Chwilę potem nastąpił w pobliżu przerażający wybuch. Artyleryjski pocisk musiał rozbić się niedaleko okna, gdyż cała sterta cegieł runęła do wnętrza, napotykając mnie na drodze. Jedna z nich uderzyła mnie w tył głowy i zmiażdżyła kawałek czaszki; do dzisiaj można wymacać małe wklęsnięcie, gdzie wbił się kant cegły. Gdybym stał o pół stopy bliżej okna, ta cegła sięgnęłaby mózgu... Skończyło się „tylko” ciężkim wstrząsem mózgu: mdłościami, wymiotami, ogłuszeniem, zamglonym wzrokiem i potwornym bólem głowy. Polało się też sporo krwi. Choć żyłem, nie nadawałem się do akcji militarnej. Przeniesiono mnie do najbliższego punktu sanitarnego w innej piwnicy, gdzie sanitariuszki mogły zaferować mi tylko bandaż, aspirynę i łożko polowe. Gdy ja wiłem się z bólu w sanitarnej piwnicy, moja kompania walczyła gdzie indziej i ponosiła owe straszne straty.

Symptomy wstrząsu powoli ustępowały w poniedziałek i wtorek, podczas gdy na Mokotowie szalała walka. Opór powstańców stopniowo załamywał się i cały pułk „Baszty” został zepchnięty do małej, kilku ulicowej przestrzeni. Nie wiem, jaki byłby mój los, gdybym pozostał w piwnicy do całkowitego upadku oporu oraz kapitulacji. Może na willę, gdzie była piwnica, spadłaby śmiertelna bomba? Może SS-man wbiegający do piwnicy zabiłby mnie serią ze "schmeissera". Krążyły pogłoski, że nieraz Niemcy nie brali rannych powstańców do niewoli, ale po prostu zabijali na miejscu. Bojąc się o mój los i ignorując rozkazy co do pozostawiania rannych - przyjaciele z B1 namówili mnie, abym dołączył się do ewakuacji kompanii kanałami do Śródmieścia, wciąż jeszcze walczącego.

O świcie, w środę 27-go września, wszedłem wraz z kolegami do kanału. To, co się tam potem wydarzyło, było piekłem innego rodzaju, ale jest to materiał na osobne opowiadanie. Powiem tylko w skrócie, że wraz z setkami powstańców i nieoczekiwanych cywili spędziłem siedem godzin, wlokąc się tam i z powrotem w ciemności, brodząc po kolana w gęstej, śmierdzącej cieczy. Co gorsza okazało się, że Niemcy zablokowali główny kanał w kierunku centrum miasta. Spowodowało to panikę i chaos, potęgowany wybuchami granatów wrzucanych przez Niemców do włazów. Kompania rozpadła się zupełnie; z jednostki pozostał ze mną tylko "Juliusz" i "Strata". W pewnym momencie puścili nam nerwy: "poddajemy się, albo zginiemy w kanale jak szczury". Kiedy wyszliśmy na powierzchnię, okazało się, że naszym przeciwnikiem byli żołnierze z Wehrmachtu, regularnej armii, a nie SS-mani lub ich azjatyccy pomocnicy, sowieccy renegaci, którzy zabijali poddających się bez żadnych skrupułów. Pod ich właśnie eskortą, nie wierząc jeszcze całkiem szczęściu, poszliśmy pustymi ulicami Mokotowa do fortu, gdzie zgromadzono setki jeńców. Z tego miejsca pomaszzerowaliśmy do ponurej hali fabrycznej poza Warszawą, a potem, po paru dniach w obozie przejściowym, wsadzono nas do wagonów towarowych i wywieziono na zachód Niemiec, do stałego obozu jenieckiego w okolicy Bremy. Stamtąd, siedem miesięcy później, wyzwoliła nas i mieszankę przedstawicieli innych narodowości niewielka jednostka amerykańskich czołgów i opancerzonych walijskich wozów. Dla mnie był to następny etap burzliwej drogi na zachód i do długiego, pomyślnego i szczęśliwego życia w Wielkiej Brytanii.